



**HELENA
SEKUŁA**



**ÓSMIU GWARDZISTÓW
W CZARNYCH BERMYCACH**

Helena Sekuła

OŚMIU GWARDZISTÓW W CZARNYCH BERMYCACH

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-54-8

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

– Masz trzy dni na rozliczenie – powiedział Tamga i o niczym nie chciał słyszeć. Po prostu wstał i wyszedł z kawiarni.

Inżynier Ogielski więcej go nie zobaczył; nie znał ani adresu, ani telefonu Tamgi, nie wiedział, gdzie pracuje, skąd przychodzi i dokąd odchodzi ten niczym nie wyróżniający się mężczyzna. Przeciętna statystyczna, nie człowiek. Nie wiedział, jak naprawdę Tamga się nazywa. Kiedyś, na początku ich znajomości, przedstawił się inżynierowi niewyraźnie, jak czyni to większość ludzi, a proponując warunki, nie silił się nawet na mistyfikację.

– Moje nazwisko nie jest panu do niczego potrzebne – podkreślił; był małomówny, rzeczowy. – Przez telefon będę się przedstawiał jako Tamga, a także każdy, kto ode mnie przyjdzie, powoła się na to miano. Proszę je uważać za hasło i zachować w najgłębszej tajemnicy.

Tamga telefonował rzadko i tylko do mieszkania, nigdy do instytutu doświadczalnego, gdzie inżynier pracował. Spotkania umawiali w mieście, niekiedy jednak Tamga przychodził do domu Ogielskiego bez uprzedzenia. Jeżeli go nie zastał, nie zostawiał żadnej wiadomości, tylko zjawiał się innego dnia, także bez zapowiedzi.

Inżynier tak dalece przywykł do tego stylu bycia, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak zupełnie nic o tym człowieku nie wie; w powstałej sytuacji może tylko biernie czekać na jakiś znak życia od niego.

Wtedy, w kawiarni, Tamga uniósł się gniewem i nie chciał rozmawiać. Z pewnością już ochłonął, lada chwila da znać – uspokajał się inżynier. Ale upłynął jeden dzień z zastrzeżonych trzech, a tamten nie odezwał się. Inżynier zaczynał mglście rozumieć, że prawdopodobnie w ciągu dwóch dni, które mu jeszcze pozostały, nie usłyszy ani nie zobaczy Tamgi, bo go nie obchodzi, co on, inżynier, ma do powiedzenia; po prostu nie wierzy w żadne usprawiedliwienie, z góry uznał je za wykręty. Ważny jest dla niego tylko fakt odzyskania tego, co zginęło. Przyjdzie po depozyt lub upomni się w inny sposób po upływie wyznaczonego terminu. I już nie sprolonguje!

Uciekały godziny, inżynier niczego nie potrafił wymyślić, aż trzeciego dnia wieczorem przyszedł wielki strach. Ogielski zobaczył wszystko we właściwych proporcjach. Nie pojmował swojej dotychczasowej naiwności i tego niemal beztroskiego przeświadczenia: jakoś to będzie.

Nie mógł liczyć na żadne „jakoś”. Zaginione przedmioty przedstawiały wartość kilkunastu tysięcy dolarów. Przepadły gdzieś na drodze między nim a Towarzystwem, jak enigmatycznie określał Tamga zleceniodawcę czy zleceniodawców, z którymi obaj współpracowali. Tylko w przeciwieństwie do Tamgi, inżynier nie znał tych ludzi. A Towarzystwo z powodów jedynie mu wiadomych było przeświadczone, że majątek ten przywłaszczył sobie inżynier. I nikogo nie interesowały żadne wyjaśnienia.

– Ufamy wybranym osobom – powiedział mu Tamga, zanim jeszcze inżynier zdecydował się na współpracę. – Ale mamy sankcje na nielojalnych. Bardzo surowe. Nie ma u nas przedawnień, ułaskawień, okoliczności łagodzących. Chcę, aby pan o tym wiedział, zanim zgodzi się pan dla nas pracować.

Ogielskiego oblał pot, nie mógł opanować strachu, obezwładniającego jak paraliż. Osaczało coś nieznanego, ludzie bez twarzy zaczajeni w ciemności, a on jak w snopie światła jupiterów – tak się czuł. Nie potrafił biernie czekać na to niewiadome, co go miało nieuchronnie spotkać z ręki tamtych, jeśli się sprawa nie wyjaśni w określonym przez nich terminie.

Każdy się broni, jak umie, szaleństwem było czekać na nich w domu, liczyć na zrozumienie. Z pewnością wszystko się wyjaśni – wmawiał w siebie – ale przecież trzeba na to więcej czasu niż trzy dni.

Uciec!

Mijała trzecia doba dzieląca go od terminu. Dochodziła dwunasta w nocy, on wciąż siedział w pobliżu telefonu, z wieczora udając pilnie zajętego, później, kiedy Marta poszła spać – beczynn timer. Sygnał aparatu milczał i zwiędła nadzieja, że się kiedykolwiek odezwie. Uciekać! Od dawna siedziało to w podświadomości, teraz doszło do głosu. Uciekać – czuł to słowo jak kategoryczny nakaz, jak pchnięcie w plecy.

Co powiedzieć Marcie?

Przecież nie będzie jej budził w środku nocy. Chwycił się pierwszego pretekstu. A tak naprawdę to nie wiedział, jak usprawiedliwić konieczność zniknięcia, bo przecież nie wyjawia jej prawdy. Prawdy?! Nigdy.

Napiszę do niej – rzucił ochłap sumieniu.

Ubrał się praktycznie, do torby zapakował niezbędne drobiazgi. Na widocznym miejscu pozostawił kartkę.

Musiałem pilnie wyjechać. Jutro otrzymasz list – Jerzy.

Wymknął się jak złodziej, bezszelestnie zamknął drzwi. Ukryty w cieniu kępy srebrzystych świerków, rosnących przy domu, nasłuchiwał i długo badał pustą o tej porze ulicę.

Około drugiej w nocy dzwonił do drzwi znajomych mieszkających na przeciwległym krańcu Warszawy.

– Jerzy, stało się coś?! – przejął się zaspany kolega.

– Pokłóciłem się z Martą. Przenocujecie mnie?

– Co za pytanie. Wchodź!

Inżynier nie może spać, dręczy świadomość zagrożenia i dopiero teraz pojawia się niepokój o rodzinę; skręca go wstyd. Zachował się jak ostatni łajdak. Nie rozumie, jak mógł pozostawić Martę i dziecko bez żadnej opieki, tym bardziej bezbronnych, że niczego nieświadomych, niczemu nie winnych.

Teraz myśli o sobie jak o kimś zupełnie obcym; dotychczas nie znał tego nikczemnego tchórza i egoisty. Kiedy tak spisał, czy zawsze był taki? A strach tylko obnażył nędzę jego charakteru?

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie; wymknął się cicho, aby nie budzić gospodarzy i pobiegł na poszukiwanie czynnego automatu. Miasto dopiero przecierało oczy. Ciche; puste – wydało się inżynierowi nieprzyjazne, groźne. Telefonem zerwał Martę ze snu.

– Słuchaj uważnie! Zapakuj rzeczy Marcina i swoje, tak jakbyś miała wyjechać na jakiś miesiąc i przenieść się do matki, zaraz! Będziecie tam dotąd, dopóki nie dam ci znać, ale do tego czasu nawet nie zaglądaj do mieszkania.

– Jerzy, co się stało?!!!

– Nie pytaj mnie o nic, zrób, co ci mówię. Później ci wszystko wyjaśnię, a teraz nie zwlekaj.

– Chociaż ogólnie powiedz, o co chodzi?

– Marta, sprawa jest poważna! Wszystkim bez wyjątku, kto będzie o mnie pytał, mów, że wyjechałem do... – zastanawia się, dokąd jest najdalej z Warszawy – Świnoujścia. Tak, do Świnoujścia, do sanatorium.

– Jerzy, czy ty jesteś trzeźwy?

– Tak i przy zdrowych zmysłach. Zrób, co ci kazałem, a wszystko się ułoży.

– Skąd dzwonicz?

– Z ulicznej rozmównicy – ogarnia go zniecierpliwienie; niech przestanie nękać go pytaniami. Niesmak i niezadowolenie z siebie przeistacza się w niechęć do niej. A jednak lepiej, że w tej chwili dzieli ich odległość. Nie ma klimatu do wyjaśnień i w każdej sekundzie

może przerwać rozmowę, jeśli stanie się zbyt kłopotliwa. No i nie widzi oczu Marty, zielonych, promieniście nakrapianych bursztynem, bardzo pięknych oczu, których spojrzenia teraz by nie zniósł.

– Jerzy, gdzie ty jesteś? – próbuje zyskać na czasie Marta.

– Zrób, co ci powiedziałem – pomija jej pytanie. – Do pracy nie telefonuj, bo mnie tam nie będzie. A ja z kolei do domu nie będę dzwonił, tylko do matki – podkreślił z naciskiem i odwiesił słuchawkę.

O dziewiątej porozumiał się ze swoją asystentką w instytucie doświadczalnym: ma pilne sprawy na mieście, dzisiaj do pracowni nie przyjdzie.

I leżał przed nim pusty dzień. Bezczynność potęgowała niepokój. Krążył po ulicach z uczuciem, że jest śledzony. Czuł się bezdomny i wyjęty spod prawa.

W południe zatelefonował do matki. Emerytowana lektorka języka angielskiego dorabiała sobie prywatnymi lekcjami. O tej porze zawsze ma uczniów, więc zastanie ją w mieszkaniu, ją i małego. A słuchawkę na pewno podniesie Marcin. Zresztą babka przeważnie pozwalała wyręczać się w tej czynności, mały bowiem ogromnie lubił rozmawiać przez telefon. Tego dnia inżynier musiał usłyszeć syna, chociaż wiedział, że dziecko z całą pewnością tam jest. Marta codziennie rano odwoziła je do babki i zabierała po skończeniu pracy. Nawet miała po drodze, bo starsza pani Ogielska mieszkała blisko przychodni, w której ordynowała jej synowa.

– Jestem Marcin – zgłosił się syn; inżynier bez słowa przerwał połączenie. Jeszcze bardziej bał się ufnego radości chłopca niż pytań żony. Lecz doznał ulgi dzięki złudzeniu, że nic się nie zmieniło, a ich życie toczy się jak zwykle. Jednak przymus, jaki sobie zadał, aby nie odezwać się do dziecka, sprawił, że nagle poczuł się pozbawiony rodziny.

Do Marty poszedł dopiero nazajutrz.

– Pani doktor, mąż czeka – jak zawsze w takich razach zawołała woźna.

I zaraz z głębi korytarza nadeszła Marta, odmieniona nie do poznania. Mijając oczekujących pacjentów, podejrzliwie taksowała ich twarze. Rozglądała się niespokojnie, niepewna, przestraszona.

– Coś ty takiego zrobił, Jerzy? – zagarnęła go do gabinetu i chociaż byli sami, mówiła szeptem. – Pytano o ciebie.

– Na Żoliborzu?! – zbladł; aż tak wszystko o nim wiedzieli, zaraz trafili do jego matki? Jednak nie. Marta przyznaje się, że tylko w części spełniła jego żądanie. Rano odwiozła małego i pozostawiła na noc u świekry, sama zaś wróciła do domu.

– Dlaczego mnie nie posłuchałaś!

– Jak widzisz, nic mi się nic stało. Ten mężczyzna przyszedł wczoraj wieczorem, zachowywał się nawet dość uprzejmie. On dotychczas nigdy u nas w domu nie był – powiedziała jednym tchem, jakby się tych kilku zdań wyuczyła na pamięć. Głos miała nieswój, drewniany, nie patrzyła na męża.

– Nieznajomy? – przez chwilę błysk nadziei; Tamgę, wprawdzie przelotnie, lecz widziała chyba ze dwa razy. Mogła naturalnie nie zapamiętać twarzy, taki był pospolity, nijaki. – Jak wyglądał?

Opisała kogoś, kto w żadnym razie nie był tamtym.

– Przedstawił się, powiedział jakieś nazwisko?

– Tak. Tamga – wyskandowała; zgasła nikła nadzieja. Wprawdzie to ktoś inny, lecz przychodzi od nich, od Towarzystwa. – Wyjaśniłam, że wyjechałeś do sanatorium, nawet nie zapytał, gdzie jest to sanatorium.

I Marta przedstawiła mu całą wczorajszą rozmowę.

– Niech mąż natychmiast wraca, inaczej będzie źle – powiedział ten inny Tamga.

– Ale co się takiego stało, w czym i komu mąż się naraził? – zaryzykowała pytanie.

– To pani nie wie? – gość zmierzył ją spojrzeniem.

– Gdybym wiedziała, nie pytałabym pana.

– Niech pani dziękuje Bogu, że pani nie wie, i mężowi, że miał dość rozumu, aby pani nie mówić. I niech się pani nie stara dowiedzieć – poradził, a po pauzie: – Synek państwa już śpi?

– Uchylił drzwi do drugiego pokoju i popatrzył na mnie, jakby badając, czy rozumiem ostrzeżenie – mówiła Marta wciąż tym samym monotonnym głosem. – Śpi – zapewniłam i szczęśliwa byłam, że mały jest u twojej matki. Nie wiedziałam tylko, co zrobię, jeśli ten człowiek zajrzy do pokoju Marcina i nie znajdzie dziecka, to znaczy co mnie spotka z jego ręki, ale na szczęście nie zajrzał. – Gdy opowiadała to mężowi, dygotały jej dłonie, a głos łamał się aż do ochryplego szeptu. – Na coś ty nas naraził, Jerzy!

Inżynier dopiero teraz spostrzegł, jakie spustoszenie na twarzy żony wywołała minioną dobę; widział śmiertelną bladość pod makijażem, zapadnięte, gorączkowo rozbiegane oczy, podkute brunatnymi kręgami, spierzchnięte usta i wyraz zaszczucia.

– Jerzy, nie przychodź do domu! – ścisnęła jego dłoń. – Nie przychodź!

– Uspokój się, nic mi się nie stanie.

– Zostaw mi swoje klucze, Jerzy. Wtedy będę spokojna, że tam nie pójdziesz – dygotała, uczipiona jego rękawa.

– Weź – podał jej klucze; poczuł dla niej wielką czułość i wyrzuty sumienia, i lęk o nią, taką nieodporną, tak ciężko przeżywającą każde słowo tego obcego. Lecz zaraz refleksja: dlaczego o nic nie zapytała, jego, męża...

– Jeszcze jedno – przypomniała sobie. – Zanim przyszedł ten Tamga, zadzwonił jakiś mężczyzna. „Muszę pilnie skomunikować się z inżynierem – powiedział. – Pozostawiam numer telefonu: 19 89 903. Niech pani zapisze, to bardzo ważne, pan Ogielski będzie wdzięczny”.

– Nie znam nikogo, kto ma taki numer telefonu.

Nie odpowiedziała; nie patrzyła na niego, gdy zażądała:

– Nic przychodź t u t a j do mnie ani do mieszkania matki, dopóki nic wyjaśnisz tego wszystkiego... A może zwrócisz się do władz? – badała go wzrokiem.

– Wszystko się ułoży bez udziału władz – zapewnił. – Możesz mi wierzyć, przecież nigdy cię nie okłamałem.

Tak, nigdy dotychczas nie złapała go na kłamstwie, to prawda.

– Wierzę ci – przystała skwapliwie. – Idź już, Jerzy.

Minęła zaledwie doba, a ona zmieniła się nie do poznania. Nawet nie zapytała, gdzie nocował i co dalej ze sobą pocnie. Nie proponowała pomocy.

2

– Halo, tu magiel prasujący!... – W słuchawce głucha cisza, na drugim końcu kabla czyjaś zaczajona obecność. – Halo, Edward Wyrobek przy telefonie – przedstawił się.

Znów powiedział: magiel, chociaż unika tego określenia, jak może. Ośmieszono. „Jak baby w maglu, tu nie magiel, wiadomości z magła”. I za cóż ta wzgarda dla tak pożytecznego urządzenia, ileż oszczędza wysiłku i czasu. Ale ludzie jak niemądre dzieci: „Hi, hi. Wyskrobek z magła!” – złośliwie przekręcają jego nazwisko. I co w tym śmiesznego? Największe chamstwo wyśmiewać się z nazwiska.

Udaje, że nic sobie z tego nie robi, jednak stara się, zwłaszcza przez telefon, nie mówić: magiel, bo najczęściej dokuczają przez telefon, w oczy nie śmia. Zazdroszczą i tyle. Wydaje im się, że on wielkie kokosy na tym interesie robi.

– Halo... – membrana dźwięknęła rozłączeniem, zaśpiewała sygnałem. Kto to mógł być?

Znów nic nie ma ci ciszy pustego warsztatu. W powietrzu lekki zapach chlorku i przypieczzonego krochmalu. Wyrobek niechętnie wraca do rachunków.

Pensja dwóch maglarek – pracują dobrze, ale też każą sobie płacić i słowa nie powiedz, bo zaraz szantaż: Jak się szefowi nie podoba, to one sobie pójda tam, gazie je przyjmą z otwartymi rękoma. I on wie, że przyjmą. Bo zręcznych w tym fachu brakuje, a robota ciężka. Więc płaci i jeszcze się podlizuje. Tfu! Do czego to doszło.

Czynsz, energia – sumuje. Taka maszyna to żre prąd! Podatek... Z długiem też już nie może dalej zwlekać, trzeba oddać.

– Ech koniki, koniki, wy moja miłość! – wzdycha; hazardowo i bez powodzenia grywa na wyścigach, totalizator pochłania dochody z magła, zaciągane pożyczki.

Z niesmakiem odsuwa papiery. I co zostaje? Jak by nie liczył, brakuje... I myśl, która tylko czeka takiej okazji: tych ośmiu gwardzistów to ładny grosz. Sprzedać i już.

Nie. Najpierw poznać źródło i wycisnąć, ile się da. Sam los zesłał mu szansę, jaka się trafia tylko raz; nie wolno jej zmarnować – podszeptuje zachłanność. I nagły błysk: ten głuchy telefon! Czy to przypadkiem nie inżynier? Ale dlaczego się czai, ukrywa? Takiego postępowania Wyrobek nie rozumie. Przecież Ogielski powinien się zgłosić, to jego żywotny interes. A może on, Wyrobek, nie dojrzał czegoś ważnego, co powoduje dziwne zachowanie inżyniera?

Cierpliwości, Wyrobek potrafi być cierpliwy. Ile dni – dni? – ile tygodni, dzień w dzień, krążył po parku w Powsinie, aby znów spotkać tego rozpieszczonego szczeniaka, Marcina.

Nie podszedł do niego, tak jak za pierwszym razem, chociaż dzieciak rozgarnięty i z pewnością swój adres zna. Ale nie uległ łatwej pokusie, wiedział, że mały nie powinien go więcej widzieć. I dziesięć godzin przesiedział wtedy w chaszczach z lornetką, czekając, aż ta para z chłopcem zacznie się wreszcie zbierać do domu. Na szczęście zawsze jedno z nich leżało na kocu, kiedy drugie szło gdzieś z tym bachorem, który chwili nie usiedział na miejscu, jakby go gryzły robaki.

Wreszcie zebrali się. Wyrobek był przygotowany, że oni przyjechali tu, jak większość ludzi, samochodem. Ale gdzie tam! Przyszli pieszo. Dopiero później dowiedział się, że w ogóle nie mają auta. Mocno go to zdziwiło. Ale wówczas, w Powsinie, sądził, że albo mieszkają gdzieś bardzo blisko ośrodka, albo pojadą autobusem.

Omylił się. Ten upiorny dzieciak chciał iść przez las. Po dziesięciu godzinach prawie nieustannej galopady szczeniak miał jeszcze ochotę na spacer! Prawda, przespał się po południu i oto były skutki.

Rodzice zgodzili się natychmiast na ten pieszy powrót. Wyrobek powłókł się za nimi, przeklinając rozpuszczzonego smarkacza, któremu na wszystko pozwalano. Szczęście, że to była niedziela i trochę ludzi także spacerowało lub wracało lasem. Dzięki temu nikt nie zwrócił uwagi na Wyrobka. Ale dał mu ten mały w kość. Przegonił Wyrobka z Powsina pod Pyry, będzie z dziesięć kilometrów. Oczywiście Marcin, chociaż z piekła rodem, ale w końcu się zmęczył i wlaź ojcu na plecy, a Wyrobek nie miał już innego wyjścia, tylko musiał iść, a nie jest zwyczajny takiego chodzenia. Lecz wytrzymał i w taki sposób zdobył adres tych ludzi: ulica Sowy, numer jedenaście, domek jednorodzinny, własność małżeństwa Walickich.

Przezornie poszedł do biura meldunkowego i dobrze zrobił.

– Poszukuję... – podał zmyślane nazwisko człowieka, który rzekomo miał zamieszkiwać przy ulicy Sowy jedenaście.

– Nikt taki nie jest zameldowany. Oprócz właścicieli mieszkają tam tylko Marta i Jerzy Ogielscy...

– Imię się zgadza – skłamał Wyrobek – tylko nazwisko jakieś przekręcone. A gdzie pan Ogielski pracuje? – W ten sposób dowiedział się, że to inżynier chemik z instytutu doświadczalnego. – Nie, to jednak nie ta osoba, której szukam – udał rozczarowanie i potem

przez pewien czas nawet nie pokazywał się w tej dzielnicy. Niech pójdzie w niepamięć jego wygląd i pytanie o inżyniera.

Tak zaczął gromadzić wiadomości o chemiku.

Następnym źródłem wiedzy o inżynierze stał się magiel prasujący, ulokowany w narożnym domu. Szefowa okazała się osobą zasiedziałą tutaj od lat i rozmowną. A Wyrobek miał zawodową łatwość porozumienia się z kobietami, zwłaszcza tymi powyżej czterdziestki. No i wygląd interesujący. Mimo bliskiej już sześćdziesiątki zachował prezencję, włosy i czerstwą cerę, pieczołowicie pielęgowaną masażami i kwarcówką.

– ...tylko pani może mi pomóc – powiedział do maglarki i uśmiechnął się swoim najbardziej czarującym uśmiechem, przeznaczonym wyłącznie dla najlepszych klientek.

Zaraz po tej inwokacji szefowa uprowadziła go do ciasnego kantoru, który w poprzednim wcieleniu był oszklonym gankiem.

– Co mogę dla pana zrobić? – chciała nieść pomoc natychmiast; przypominała tłustego suma w średnim wieku, umieszczonego w zbyt małym akwarium.

– Pani z pewnością zna ludzi w okolicy...

– No, pewno! Już ręczny magiel tu... – przyhamowała – tu mieli moi rodzice. I na całe Pyry pierwszy elektryczny też nastał u nas. A teraz mam ten bębnowy, prasujący. Zawsze szliśmy z postępem.

– Inżyniera Ogielskiego pani zna?

– Męża młodej Walickiej? Ją to znam od małego, chyba z pięć lat miała, jak się starzy Waliccy pobudowali na Sowy. Ale tego jej męża to mniej.

– Jestem kolekcjonerem – skłonił się, wymruczał niewyraźnie swoje nazwisko i tknął nosem pulchną rękę szefowej. – Inżynier Ogielski chce kupić od mnie cenną kolekcję... Pragnę poufnie zebrać opinię i zorientować się, czy to człowiek poważny, posiadający środki.

– Młodzi są na dorobku, on, słyszałam, zaczepiony w jakimś instytucie naukowym, ona dentystka na stażu, dopiero co po studiach, no i dziecko do tego, to co oni mogą mieć? Ale starzy Waliccy to ho, ho! On kucharz dyplomowany, ona mocna w deserach, wciąż po Afrykach naszych budowlańców żywią. I pewno lokują. Nawet pasowałoby, bo oni znów na wyjeździe, to przez zięcia lokują.

– Czy ktoś u nich zbiera ołowiane żołnierzyki?

– Niby co zbiera? – przyjrzała mu się z niesmakiem. – W ogóle nie słyszałam, aby dorośli ludzie zbierali coś takiego! Nie wiem, czy oni co zbierają... To zięć Walickich zabawki od pana kupuje?

Zaprzeczył, zły na siebie za ten kiks.

– Co jest grane, panie starszy? – dała do zrozumienia, ale nie trafił na naiwną. – Jeśli się przyszło wyciągnąć informacje, to trzeba się zrewanżować przynajmniej pozorami zaufania, a nie wmawiać, że dorosły chłop bawi się lalkami.

– Zależy mi na dyskrecji... – bąknął; zyskiwał na czasie, aby zastanowić się, jakie przedmioty w jej pojęciu godne są kolekcjonowania, bo stanowią lokatę.

– Nie jestem dzisiejsza – zapewniła, co równało się obietnicy dotrzymania sekretu po grób. Łaskawie przywróciła mu swoją zachwianą życzliwość, schła z ciekawości.

– Chodzi o obrazy – wyznanie wypadło przekonująco.

– Oczywiście lokują... – mruknęła z zawiścią, lecz rada ze swej przenikliwości, obrazy trafiły jej do przekonania. – Na obrazach trzeba się znać! Ogielski się zna, czy ta jego dentystka? Bo Waliccy to znają się na sztuce-mięs w bukiecie z jarzyn! – zaśmiała się, zadowolona z kalamburu.

Wyrobek cierpliwie nizał każdy okrucieństwo wiadomości o chemiku, a gdy wreszcie gotów był do decydującej rozmowy, inżynier zniknął. W instytucie odpowiedziano: – nie pracuje – i odłożono słuchawkę. Nie zaryzykował, aby tam pójść osobiście z jakąś zmyśloną historią.

W domu inżyniera w ogóle nikt nie podchodził do aparatu; tylko raz jeden odezwała się Ogielska, pozostawił jej numer swego telefonu, lecz chemik nadal milczał.

3

Inżynier zaczął egzystować niejako na marginesie dotychczasowego życia, w oczekiwaniu jakiegoś niewiadomego dnia, kiedy wszystko miało się wyjaśnić samo przez się, bez jego udziału. Jak on się o tym dowie, skoro się ukrywa? To wydawało się nieskomplikowane. Wyjdzie na jaw jego niewinność i Oni będą chcieli wznowić współpracę. Oczywiście nigdy już jej nie podejmie, lecz Oni o tym jeszcze nie wiedzą. Będą chcieli, aby znów dla nich pracował i przyślą do niego, do domu, Tamgę, który nikogo nie zastanie, więc pozostawi wiadomość w skrzynce na korespondencję lub prześle ją pocztą. Ogielski nie dopuszczał myśli, że taka wiadomość może być także podstępem, aby go wywabić z ukrycia.

A zatem będzie musiał zaglądać do domu, lecz teraz jeszcze za wcześnie. I wyznaczył sobie termin: miesiąc. Ogromny obszar czasu, podczas którego wszystko się wyświeśli!

Na noc wciąż wracał do tych samych przyjaciół, mieszkających na drugim krańcu miasta. Zaabsorbowany swoim nowym położeniem, nie dostrzegał narastającego chłodu gospodarzy.

– Jerzy, powinieneś wrócić do Marty – po pewnym, krótkim zresztą, wstępie oświadczył któregoś dnia gospodarz.

– Albo prawnie uregulować swą separację i prawo do mieszkania. Nie możesz tak tkwić w powietrzu – zawtórowała jego żona.

– Nie zrozum nas źle, radzimy dla twego dobra – troszczył się gospodarz.

Zrozumiał ich dobrze. Mieszkali w dwóch dziuplach z dwojgiem malców, on odbierał im cenne metry szczupłej powierzchni. Nie wytrzymywali dodatkowej ciasnoty na dłuższą metę. Nazajutrz podziękował za gościnę.

– Pamiętaj, Jerzy, gdyby co, to my zawsze... – z widoczną ulgą deklarował się gospodarz, jego żona ostrożnie milczała.

Później, gdy nabrał doświadczenia, Ogielski zaobserwował, że kiedy odchodził, wszyscy jego znajomi z lepiej lub gorzej maskowaną ulgą wyrażali gotowość ponownego udzielenia pomocy w bliżej nie precyzowanej przyszłości. A konkretnie, niemal wszyscy – i ci, którzy mieli większe mieszkania, i ci z mniejszymi, obarczeni rodziną i samotni – dobrze znosili gościa przez trzy dni. To znaczy przez trzy noclegi, bo starał się wracać dopiero po kolacji, aby jak najmniej wadzić. Po trzech dniach atmosfera stawała się ciężka, w powietrzu wisiało zawsze to samo, niebawem wypowiedane pytanie:

– Jerzy, nie zrozum nas źle, ale dlaczego nie uregulujesz...

Po tych doświadczeniach korzystał z gościnności – zawsze udzielanej spontanicznie, to także należało do reguł gry: gościnność jest cechą narodową Polaków – rozważnie, przezornie dziękując za nią już po dwóch dniach. Oszczędziło mu to upokorzeń, niechęci i opinii natręta, a świadczących pozostawiało w miłym przekonaniu o własnej szlachetności. Miało to tę złą stronę, że znajomych, do których w ogóle mógł się zwrócić o nocleg, wyeksploatował po dwóch tygodniach; adresy się skończyły, a w jego sytuacji nic się nie zmieniło. Tamga nie dawał znaku życia. Tymczasowa bezdomność inżyniera przekształcała się w stan stały. Zrozumiał, że musi zapewnić sobie mniej efemeryczne lokum, niezależne od dobrej woli i wytrzymałości przyjaciół. Poszedł do biura kwater prywatnych.

– Osobom zameldowanym w Warszawie nie wynajmujemy – urzędniczka zwróciła mu dowód osobisty. – Jedynie w wyjątkowej sytuacji.

– Właśnie jestem w wyjątkowej sytuacji.

– Wybuch gazu, pożar, zatopienie?

– Dezynsekcja. Mrówki Faraona.

– Pół Warszawy je ma – urzędniczka straciła dla niego wszelkie zainteresowanie. – Zresztą i tak nie mamy wolnych kwater.

Za to wolne kwatery mieli pośrednicy, kłębiący się pod biurem wynajmu.

– Kawalerka w centrum, wygody, telefon – zanim zdążył kogoś zagadnąć, złożył mu ofertę mężczyzna w marynarce w kratę. – Dycha za dobę!

– Dycha? – nie zrozumiał.

– Dziesięć dolarów – ziewnął kraciasty.

– Ja nie mam dolarów – bąknął zaskoczony inżynier – i nie mam gdzie spać.

– Wal pan na ogródki działkowe – mruknął kraciasty, popatrzył na niego jak przez szkło i odzeglował z godnością.

– Niech pan przyjdzie tu wieczorem – ulitowała się pękatka, omotana peleryną i modną regionalną chustą. – Wtedy bywają różne kategorie.

Były.

– Komfort z towarzystwem, tysiąc za dobę. Towarzystwo płatne oddzielnie.

Nie chciał komfortu z towarzystwem. Owszem, mógł zażyć samotności, także w komforcie, za dwa tysiące złotych polskich doba.

– Bez meldowania – konspiracyjnym szeptem wabił tą niesłychaną wygodą pośrednik.

Wreszcie blisko północy trafił na niewiastę, sylwetką przypominającą emerytowanego boksera wagi ciężkiej, u której kupił miejsce do spania. Nie obiecywała luksusu ani towarzystwa dam. Przyprowadziła do starej czynszowej kamienicy, do niegdysiejszej stróżówki zastawionej piętrowymi pryzmami, z pościelą czarną jak noc.

Spać mu się jednak nie udało.

– Oooo, nowy! – ucieszyło się liczne zgromadzenie, które w niepojęty sposób mieściło się na dolnym posłaniu przy desce rzuconej w poprzek nar. Na tym zaimprovizowanym stole tłoczyły się butelki.

– Nowy, masz kartę wstępu? – zakłębili się wokół inżyniera; byli zgrani jak jedna rodzina; widać, stali bywalcy owego pensjonatu. Stał bezradny, nie rozumiejąc, czego od niego chcą. – Mama Ząbek, skąd go wytrzaszaś, on nie przyswaja, co się do niego mówi!

– Musisz się wkupić – dobyła flaszkę emerytowana bokserka wagi ciężkiej, familiarnie nazywana przez pensjonariuszy Mamą Ząbek; górny siekacz miała okapslowany koroną z żółtego metalu. Prowadziła także wyszynk, co sądząc z liczebności koczujących, niepomrotnie podnosiło atrakcyjność tej skromnej bazy noclegowej.

Inżynier wołał nie wyłamywać się z ogólnie przyjętego obyczaju i zapłacił Mamie Ząbek za pół litra stołowej.

– Możesz spokojnie zaprawiać, u mnie włos ci z głowy nie spadnie i nikt ci niczego nie ruszy – zapewniła Mama, inkasując pieniądze za wódkę. – A portfel to możesz na podłogę rzucić i tam go znajdziesz, gdzieś rzucił.

Na hazard z portfelem inżynier nie poszedł, lecz miał możliwość przekonać się, jak skutecznie Mama Ząbek likwidowała w zarodku wszelkie zbyt rażące różnice zdań, mogące doprowadzić do konfliktu.

– Spokój tam, Pimpula! – huknęła na krępego osiłka, który miał jakieś pretensje do czarnego chudzielca – a ty, Karawaniarz, nie drażnij go, bo on tylko na umyśle słaby – strofowała chudzielca.

Gdy nie skutkowały słowa, biła. Biła zwiniętą pięścią z siłą mężczyzny, srebrne pierścionki z ostrokałtymi oczkami, jakie nosiła na palcach, działały jak kastet.

Inżynier dotrwał do rana i rzucił się na kolumny ogłoszeń w gazetach. Kawalerka na Stegnach do wynajęcia... – zainteresował go ten anons. Owszem, była do wynajęcia. Właściciel wyjeżdżał na trzy lata za granicę i chciał za trzy lata z góry siedemdziesiąt dwa tysiące złotych.

Pokój przy rodzinie, z kolejnego inseratu, okazał się leżanką w przechodniej izbie, dostępnej od dziesiątej wieczorem do dziesiątej rano. Płatne z góry za trzy miesiące a tysiąc złotych miesięcznie.

– Po obiedzie to mąż lubi sobie pospać na tej kanapie – wyjaśniła gospodyni – a później to też nie lubi, jak się obcy po mieszkaniu szwendają, a po dziesiątej to w sam raz.

Wynajął leżankę i zapłacił za kwartał, lecz te dwanaście godzin, podczas których miał do niej rzekomo wyłączne prawo, okazało się złudzeniem; mebel stał na wprost telewizora i dopóki nadawano program, okupowała go rodzina gospodarzy, zapatrzona w szklany ekran. Byli wszytkożerni, odbierali program non stop. Nauczył się przychodzić tuż przed wyłączeniem telewizora.

Niepostrzeżenie dla siebie nabrał nawyków łazika, nie kończące się wałęsanie wypełniało mu dni, które już nie wydawały się puste. Nie myślał o niczym konkretnym, niczym się nie niepokoił, gdy niezmordowanie przemierzał miasto.

Skurczyły się jego zainteresowania, prawie przestał odczuwać swoją izolację. O niedawnym życiu myślał jak o czymś bardzo odległym i trochę nierzeczywistym. Przestał się niecierpliwie brakiem znaku od Tamgi, był przekonany, że wreszcie go kiedyś otrzyma. I byłoby mu zupełnie dobrze, gdyby nie dotkliwa i wciąż potęgująca się tęsknota za najbliższymi.

Syna i swojej matki nie widział od dawna, z żoną spotykał się rzadko, z zachowaniem tysięcznych ostrożności.

Już nigdy nie widział jej takiej przerażonej, chłodnej i obcej jak w pierwszym dniu jego ucieczki, wtedy gdy nawet nie starała się ukryć, jak bardzo chce, aby sobie poszedł. Po kilku dniach zwróciła mu jego komplet kluczy od mieszkania i znów była oddanym mu człowiekiem, na którego mógł liczyć.

Nie zrobiła mu żadnego wyrzutu za pozbawienie jej domu i ani razu nie zapytała, kiedy ten dom odzyska. Nie zapytała także nigdy o przyczyny jego ucieczki, które wpędziły ich rodzinę w tę rozpaczliwą sytuację.

Te kradzione spotkania z Martą miały jedną złą stronę; znikąca jego błogosławiona obojętność, ten prawie narkotyczny stan, podczas którego nie czuł nic poza zespoleniem z ulicą, z domami, z miastem jego dzieciństwa, jego młodości. Po odejściu żony ogarniała go rozpacz, nie widział wyjścia z matni, nienawidził ludzi.

W takim nastroju przyszedł na swoją kwaterę i poczuł, jak nie cierpi tego mieszkania, leżanki, jak nie znosi tych telewizyjnych przeżuwaczy. Sprowokował awanturę z gospodarzami, którzy jak codziennie okupowali wynajęte mu legowisko. Nawymyślał im za wszystkie ubiegłe wieczory, za to, że są tacy, jacy są, i za swoje życie nie życie. Wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Nie przyniosło mu to ulgi, wiedział, że nie wróci tam nigdy, bo mógłby ich wymordować.

Napięty, wibrujący na pograniczu rozstroju, po kilku tygodniach tułaczki i omijania własnej dzielnicy, pojechał do domu. Było mu tak wszystko jedno, że nie zachowywał żadnych ostrożności. I nic się nie stało. Kiedy jednak wyspał się we własnym łóżku, wykapał i ogolił we własnej łazience, już nie było mu wszystko jedno i po raz pierwszy od bardzo dawna rozważył swoją sytuację.

Oczywiście nic się nie zmieniło na lepsze, lecz nasunął się wniosek: teraz nikt już nie będzie szukać go w domu. I zaczął ukrywać się u siebie.

Wychodził rzadko. Przeważnie wcześniej rano albo późnym wieczorem. Żywność kupował raz na kilka dni. Przed każdym opuszczeniem mieszkania z okien na piętrze obserwował okolicę.

Na ulicy Sowy łatwo wypatrzy się obcego. Niewielka uliczka bierze swój początek od Puławskiej i kończy się skrajem kabackiego lasu. Prowincjonalnie cichy zakątek na południu

Warszawy. Za ogrodzeniami z siatki, z balasków, za żywopłotami, za żeliwnymi sztachetkami małe domki w ogródkach. Wzdłuż parkanów wąskie kładki z pojedynczych cementowych płyt, środkiem wysypana żwirem jezdnia, służąca tylko mieszkańcom, bo rów i szlaban zagradzają drogę do lasu – rezerwat wyłączono z ruchu kołowego.

Wśród wygody własnego domu, pośród książek i drobiazgów, odnalazł zapomniane przyzwyczajenia, zainteresowania. Przychodził do siebie. Nie podnosił słuchawki telefonu, nie odpowiadał na dzwonki. Wejście w parkanie było otwierane automatem z wnętrza domu. Ogrodzenie wokół dawało dodatkowe poczucie bezpieczeństwa.

Któregoś dnia, sprawdzając teren przed wyjściem z mieszkania, zobaczył mężczyznę zatrzymującego się przed furtką. Z uniesioną głową wpatrywał się w okna na piętrze, jakby domyślał się kogoś ukrytego za firanką. Następnie powoli, demonstracyjnie wyciągnął z teczki kopertę i wetknął do skrzynki pocztowej umocowanej na furtce. Odszedł w stronę lasu.

Nie był to listonosz, bo listonosza inżynier znał. Zresztą po opuszczeniu domu Marta zastrzegła w urzędzie pocztowym osobiste odbieranie korespondencji.

Przebiegł oczyma ćwiartkę papieru.

Szanowny Panie! – mimo usilnych starań nie udało mi się skomunikować z panem osobiście. Więc tą drogą zawiadamiam, że w moim posiadaniu znalazło się osiem figurek gwardii szkockiej, wyprodukowanych z okazji dwudziestopięciolecia koronacji królowej Elżbiety. Na oferty oczekuję codziennie pod telefonem numer 19 89 903.

Ogielski pamiętał ten numer, ktoś pozostawił go Marcie zaraz po jego ucieczce z domu. Więc niewątpliwie tę wiadomość także kierowano do niego, ale co oznaczała?

Zawiadomienie, że wszystko w porządku, próbę wywabienia go z nieznanej kryjówki, a może to tylko znak, aby wrócił do domu, aby Tamga mógł go osiągnąć telefonicznie.

Zadzwoń tam? – połączenie z podanym numerem nie wydało mu się nadmiernym ryzykiem.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI